

Motylek z białą główką

Zawsze sobie powtarzam, że mam wiele szczęścia, że czegoś nie dostałam, że pikuś, nie mój czas, nie moje przeznaczenie, że nie zrobiłam czegoś, bo nie mogłam (to już powtarzam za Stanisławem Lemem) i inne, mające na celu pocieszyć mnie samą, dyrdymały, określane powszechnie jako "złote myśli". Że co ma powiedzieć taki Leonardo DiCaprio, naprawdę się stara... i co?

Ale, cholera jasna, w końcu i on dostaje Oscara.

Podobno matka DiCaprio, będąc z nim w ciąży, często odwiedzała różnego rodzaju wystawy, żeby nawiązał kontakt ze sztuką od najwcześniejszych dni, wierząc, że to uczyni z jej dziecka artystę.

Pierwszy raz DiCaprio poruszył się, gdy podziwiała jeden z obrazów da Vinci, więc zdecydowała się na nazwanie swojego dziecka imieniem mistrza.

Dzwonię do mamy i pytam, gdzie ona ze mną chodziła w ciąży, że nawet spóźniłam się do "Przewodnika po zaminowanym terenie", w którym można przeczytać wszystkich. Dosłownie wszystkich, oprócz mnie. Zaczy jeszcze nie sprawdzałam dokładnie kogo, bo nie miałam go w rękach, ale sądząc po ilości dodawanych zdjęć książki z psem przez autorów wydania, to wszystkich, dokładnie wszystkich, oprócz mnie.

Mama wspomina, że zasadniczo to czekała na pociąg albo na autobus, z naciskiem na czekała. I to by wyjaśniało dlaczego ciągle czekam, aż w końcu ktoś, znaczy WYDAWNICTWO, zauważy, że jestem jedną z lepiej piszących po polsku poezję na świecie.

Pytam, czy chodziła może na jakieś wystawy, czymś bardziej się interesowała, marzyła? A mama, że najbardziej, żeby usiąść, a najlepiej poleżeć. No i to by może wszystko wyjaśniało.

Kiedy mama była ze mną w ciąży, pracowała w Sośnicowicach w Instytucie Ochrony Roślin. Wstawiała o piątej trzydzieści, bo na szczęście mieszkała na 3-go Maja w Katowicach, a kto był w Katowicach to wie, że to niedaleko dworca. O szóstej pięć odjeżdżał pociąg do Gliwic, załadowany tak, że nie było, gdzie usiąść. Była młoda, ładna, wychudzona, ale to było jeszcze bardziej wkurzające o szóstej rano, więc dopiero jak zemdlała, ktoś ustępował jej miejsca.

Tymi niedotlenieniami też wiele sobie tłumaczę.

40 minut jazdy w tłoku, bo wówczas pociąg dokładnie tyle jechał z Katowic do Gliwic. Tłok wspomina mama nawet

dobrze, ponieważ mdlejąc, nie było gdzie się przewrócić. Potem przesiadała się do autobusu z Gliwic do Sośnicowic i za trzydzieści minut była już w pracy.

Pracowała ze znakomitym prof. Mieczysławem Misiewiczem, który bez przerwy pisał nowe prace na temat nowych pestycydów.

To był czas wielkiego łał na wszystkie nowinki chemiczne, które miały poprawić wydajność, w ich przypadku klinicznym, rzodkiewki.

Jej praca, mniej więcej, polegała na tym, że najpierw liczyła dziurki na liściach roślinki, które zrobił mączlik szklarniowy. Taki tyci, tyci, niesamowicie płodny, biały motylek. Tak mi go opisuje, jakbym miała nadal trzy latka i nie umiała sobie googlnąć na tego mączlika.

I potem ona tego tyci, tyci, białego motylka traktowała szprycą z nowinek pestycydów. Każdą roślinkę innym stężeniem, z innej odległości itd. Po jakimś czasie znowu liczyła dziurki i opisywała profesorowi zachowanie poszczególnej rzodkiewki, bo raczej mączlika już na tych roślinkach nie było.

Profesor wszystko zapisywał, bardzo zniesmaczony, czego dawał nad wyraz często wyraz, że mamie rośnie brzuch i będzie musiał zastąpić ją kimś innym, jak to coś, znaczy ja, intruz, uciążliwy szkodnik, chwast - pojawi się na świecie.

Moja mama miała stosowne wykształcenie (jest po ochronie roślin), bardzo dobrze liczyła, szprycowała i w dodatku ma niezwykle dar opisywania rzeczy. W zasadzie odwalala całą robotę za profesora łącznie z wyciąganiem wniosków. Do pracy się nie spóźniała, bo mieszkała blisko dworca, więc trochę byłoby szkoda.

Profesor był już stary i każdy jego dzień w pracy był na wagę złota, a każda zmiana spowolniała jego osiągnięcia w dziedzinie wydajniejszego zabijania mączlika. Najdłuższą więc przerwę mama zafundowała mu po porodzie, ponieważ dopiero po trzech tygodniach zameldowała się u niego, gotowa do zabijania szkodnika.

Mama po pracy docierała do domu najwcześniej około dziewiętnastej i była wykończona. Nie miała ani ochoty, ani czasu na wystawy. Chciałabym przypomnieć, że w tamtych odległych czasach nikt jeszcze nie wymyślił wolnej soboty, więc tylko w niedziele można było trochę pozwiedzać, lecz moja mama wolała sobie poleżeć.

Mimo leżenia i tak chudnie ze mną do porodu zamiast jak normalna kobieta w ciąży przytyć. W dodatku w tym samym roku Roman Polański kręci "Dziecko Rosemary", inspirowane wyglądem mamy. Mama i bez oglądania tego filmu ma koszmary i halucynacje, nie wiadomo czy to po tych pestycydach, czy tylko są to normalne objawy niedoborów żelaza.

Niemniej dwa razy w ciąży ze mną ląduje w szpitalu, w którym podają jej cudzą krew, co automatycznie nie poprawia stosunków z profesorem, bo musi zostać na kilka dni na obserwacji.

Pomimo tych wszystkich omdleń, pestycydów, tłumów w środkach komunikacji publicznej, cudzej krwi, udaje mi się przyjść na świat, z białą główką jak mączlik, ba nawet wiarą, że jednak uda mi się, gdzieś zdążyć na czas i coś dobrego, w dobrym towarzystwie wydać, nawet jeśli bez przerwy traktują mnie środkiem poetobójczym.

W końcu wstaję rano, niczym moja mama do pracy, ale bez przesady, bo sobie lubię poleżeć, i piszę.